

Exz. archiwany IBL

DWA POEMATA.

DWA POEMATY

Egz. archiwalny IBL

DWA POEMATA

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.



KRAKÓW,
Nakładem Autora.

WYTŁOCZONO U Ż. J. WYWIĄŁKOWSKIEGO

1863.

INSTYTUT
BADAŃ ILEKTRONICZNYCH PAN

Biblioteka

W. <http://rcin.org.pl>

00-700 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



130

<http://rcin.org.pl>

ZOFIÓWKA.

I jam był w Zofjówce! — Publiczność już syta
Dosyć może uwielbień, pieśni Trembeckiego,
Pewnie o moje rymy nawet się nie spyta,
Lecz pisać mam ochotę — więc co mi do tego.
Przytém niesie przysłowie dawne: repetita
Bis placent, a zwyczaju trzymam się dawnego:
Może znajdę słuchaczy, chociaż moja lira
Nie wojny, ani śpiewać będzie bohatera.

Jeśli wody w garść weźmiesz, czyż zaginie morze?
Czyliż wszystko ztąd zabrał, wyczerpał Trembecki?
Wszak mogę, chociaż w ducha największej pokorze,
Powiedzieć, że ten kapłan poezyi świecki,
Co stracił namaszczenie na magnackim dworze,
Nie wyższy jak ów ślepy rapsodzista grecki,
Po którym jednak tyłu dobywało Troi:
On klasyk — inny sztandar godłem walki mojej!

Dwa razy tutaj byłem: na wiosnę i w lecie.
 O, jak w tych odwiedzinach jest wielka różnica!
 Tak wszystko w każdej chwili zmienia się na świecie,
 Jak pod wpływem uczucia kształt ludzkiego lica,
 Co raz jad lub szatański z siebie uśmiech miecie,
 Drugi raz znów anioła słodyczą zachwyca.
 Może potrafię schwycić odcień tój przemiany,
 Jak jeden śpiew, lecz z tonów odmiennych zagrany.

W wiosnie byłato niby ma Muza dziewicza,
 Budząca się pierwszego młodych marzeń rana,
 W której myśl chrześcijańska z greckiego oblicza
 Świeciła jak z lazurów gwiazda nieskalana;
 Piers jój jak lustro wody, a serce nie zlicza
 Jeszcze swoich uderzeń wściekłością orkana;
 Patrzy na świat, a marzy — nie zna jeszcze świata,
 Nie znane jój ni bujność, ni pioruny lata.

W tój porze białe brzozy zwieszzone nad stawem
 Jak włókna krzyżowały się w wielkiej tkaninie,
 Prześwieconej promieniem słońca jeszcze mdławem,
 A drobne listki, których ślad ledwie nie ginie,
 Były, jak małe muszki nad okiem jaskrawem
 Zwieszzonego woalu, co młodej dziewczynie
 Tyle wdzięku dodają, gdy w takiej osłonie
 Błyszczą szafirem oka, a rumieńcem płonie.

I przez tę z brzoź tkaninę jakby przez kryształę
Widziałeś cały ogród; i tajemne grotę,
I młodym mchem porosłe granitowe skały,
I w sieci krzyżujące się konarów sploty,
I promienie, co strugą między nie wpadały,
Budując nad twą głową ze światła namioty:
Była to jakby dusza otwarta i szczera,
Co ufna w swą niewinność wszystkim się otwiera.

Jakby serce dziewicy, które poznasz z oka
I z pierwszego uśmiechu, bo w nich żyje cała,
Nie jeszcze nie ukrywa pierś, później głębocka,
Zna tylko swą niewinność, świata nie poznała.
Lecz kiedy raz strumieniem pęknie ta opoka,
I w sercu zacznie burzyć się uczuć nawała —
Dusza cofa się w siebie, i w sobie zamknięta
Na oko i na uśmiech kłamstwa wciska pęta.

Kiedy drugi raz byłem, było to w rozkwicie
Natury najsilniejszym, w dzień świętego Jana
Wigilii. Wszystko liściem skryło się obficie;
W roślinność, w kwiaty jakby w zasłonę przybrana
Natura — narzeczona, co ma się o świecie
Drugiego dnia obudzić, już żoną nazwana,
W ostatni dzień dziewictwa rozkoszą natchniona
Silne westchnienia słała z róż, z jaśminów łona.

I dawną jój niewinność piękność zastąpiła,
 Ta piękność, co w objęciach męskiego ramienia
 Swą spokojność i czystość serca utraciła,
 Którój czoło się żarem uczucia zacienia,
 A dusza gdzieś w najgłębsze tajniki ukryła,
 Bo chce uniknąć żalu — przeszłości wspomnienia.
 Taka namiętność widna na czole natury,
 Tak przed słońcem się skryła w gęste liścia chmury.

O dziwna melancholja w tym blasku młodości!
 Tyle rokoszy przecież i smutku tak wiele,
 Co nie widny na twarzy, w sercu jednak gości —
 Wszystko kończy na świecie to jedno wesele!
 O! któż w niem upłynionym dniom nie pozazdrości,
 Gdzie droga życia jeszcze nadzieją się ścięła?
 Dziś już wszystko skończone — społnione nadzieje
 Człowiek ma się już starzec, a kwiat zaś zwiędnieje!...

I cóż wam więcej powiem? — Tu-by należało
 Postawić w końcu lirę — z waszym zyskiem może;
 Opisałem wrażenie, jakie się zostało
 W mój pamięci, w epiczne puszczać się bezdroże
 Rzecz nie moja — zanadto znam te miejsca mało,
 Ażebym nie pomyślał, nim dłuto przyłożę,
 Że chcąc posąg wykować, rysy wykoślawię,
 I coś dodam, lub ujmę może jego sławie.

Lecz spróbujmy! a jeśli kiedy tu przyjdziecie,
 I inny wcale obraz oczom się przedstawi,
 Darujcie mimowolne to kłamstwo poecie!
 Ze swą szkodą nie pierwszy raz złudą się bawi;
 Kiedyś sobie powiedział, że wszystko na świecie
 Piękniejszym się przez farbę szkła takiego jawi.
 I cóż robić z upartym? jak zechce, niech śpiewa,
 On nie ujrzy i tego, gdy kto z was zazięwa.

W każddej rzeczy, co piękna, jest piękniejsza strona.
 Cóż jest tém najpiękniejszym w tym pysznym ogrodzie?
 Pewnie ta jasna szyba stawu ustrojona
 W koło drzew kolumnadą, altaną na przodzie,
 I wizerunkiem nieba w wnętrzu swego łona,
 Co jak fatamorgana w cichěj pływa wodzie,
 Aaprzy niěj, jak na straży, z granitów opoki,
 Strzegą, by za daleko nie poszły jēj kroki.

W środku stawu fontanna, na obraz wolanta
 Bieży do góry jakby rakieta rzucona.
 W niěj się słońce raz poraz lśni ogniem brylanta,
 Co jak prędko powstaje, tak i prędko kona,
 U spodu znów by strefy zwrotnikowej planta
 Roztacza wodne liście w szerokie ramiona,
 Te chylą się nad lustrem, wreszcie w nie padają
 I z ziarna wrzuconego nowy kwiat znów dają.

Lecz poco szukać obcych bogów, kiedy swoje
 Płaczące wiérzby mogą posłużyć w téj mierze?
 Jeżeliś widział, jak one rozpuszczają zwoje
 Wązkich liści ku ziemi, szeptaając pacierze
 Z głową na bok schyloną, która znów powoje
 Wyrosłe w dole dźwiga, na swą szyję bierze:
 Możesz sobie wystawić, że wiérzbą fontanna,
 Ale ta wiérzba cała przezroczysta, szklanna.

Wsiadam w łódkę — odbijam. Łódka cicho płynie,
 Nade mną i pode mną tylko zgiełku tyle,
 Ile go czyni wiosło, co w wodzie raz ginie,
 To znowu po zwierciadle ślizgnie się na chwilę.
 Tak w elizejskiej pewnie pływają krainie,
 Tak w powietrzu zapewne szybują motyle!
 Ciało lubie omdlenie chwytą w swoje pęta,
 A dusza marzy wpół czująca, wpół zaśnięta.

Płynę. Przy końcu stawu jak miłe zdziwienie!
 Jedno ramię wyciąga jeszcze staw na stronę,
 Obejmując niēm czule nieczule kamienie,
 Które coraz to więcej w górę podniesione
 Z obu stron podpięrają leciutkie sklepienie
 Zgrabnego mostku. Mostek omijam jak bronę
 I znajduję się w kraju, o którym powiada
 Tyle cudów dowcipna nam Szeherezada.

Słuchaj! — Jakiż to hałas od szczytu tej skały
 Szumem, sykiem i jękiem do ciebie tak gada?
 Czyli widzisz tę wstęgę, której strumień biały
 Wije się, pyli, wznosi i nareszcie spada
 U stóp swych poskramiając szalejące wały?
 To zwykła rzecz, lecz piękna — to tylko kaskada;
 Rozłożona na twardeń wierzgłowi z kamieni
 Dumnie parska ci w oczy, zżyma się i pieni.

A wieńcem do jej koła dumają granity
 Poważne mchów porostem i swoim ogromem,
 Ich wzrok na rozbujale wód igraszki wbity,
 Zdaje się dziwić nad tym życiem tak ruchomém,
 Tak swobodném i młodém! Starości zaszczyty
 Cieszyć się muszą ciszą, spoczynkiem i domem,
 Lecz jak młodość bez granic, tak ten źródł kaskady
 Biegnie naprzód, by zwalczać trudy i zawady!

Biegnie naprzód, choć słodko nęca go ku sobie
 Na wierzchu skał rozwite smętnych brzóz konary
 Podobne do tych płaczek, co stoją na grobie
 Przywdziawszy na swe ciało żaloby strój szary,
 Albo owęj nieszczęsnej podobne Niobie,
 Co wyrzeka na bogów łaskawość i kary,
 Gdy mając tyle szczęścia, wszystkiego zbawiona,
 Dwa razy, zbytkiem uciech i cierpienia kona.

Ale to porównanie za bardzo utarte:
 Używają go dawni poeci i nowi,
 W fałszywy nieraz djament strojąc każdą kartę,
 Gdzie ku temu ochota przyjdzie Pegazowi;
 Więc pragnąłbym innego, coby było warte,
 By odpowiedzieć godnie temu ogrodowi,
 Czytelnika uwadze i mej przyszłej sławie.
 (Bo i w tę ciuciubabkę niekiedy się bawię.)

Niechaj będzie więc takie! Wszak w świecie się zdarza,
 Że są biedne dziewczęta są i Don-Żuany;
 Otóż kiedy z tych jeden zamiast do ołtarza
 Pójść ze swoją ofiarą, pragnąc znów odmiany
 Ucieka w inną stronę — dziewczę się uskarża,
 Wyciąga ręce, wzywa, by wrócił kochany:
 Takim tu Don Żuanem gdy będzie kaskada,
 Na brzozy rolę przyjąć kochanek wypada.

Ale pójdźmy już dalej od Niob i kochanek!
 W te czułości się nasze nie bawi stulecie;
 Wyszedł już z mody cichy elegij baranek,
 Zaginęło już prawie niezabudki kwiecie,
 Zbliża się już do grobu Maryli kochanek,
 I biedny ten poeta, co jeszcze tak płecie.
 Rzeczywistość, interes, byt materialny,
 To prozy i poczuj głąz fundamentalny.

Industrja, kurs giełdy i ekonomije
 Polityczne — to sfery, gdzie żyć nam należy;
 Kto na to dotąd ślepy, ten sam się zabije,
 Ten krokiem samobójcy ponad przepaść bieży.
 A jednak jeszcze teraz gdzieniegdzie się kryje
 W piersiach świeżych choć starych, po sercach młodzieży
 Ta wygnanka ze świata, poezją zwana —
 Co kiedyś znów się zbudzi większa — uwielbiana!

Bo zdaje się być prawdą, że wóz świata toczy
 Tak swe koła, jak ciemna na słuszność Fortuna,
 Czego dzisiaj nie mogą znieść ludzkie oczy,
 Co dzisiaj zapomnienia zimna kryje truna,
 Zatem jutro pobiegnie znowu świat ochoczy,
 To jutro głosem znowu ozwie się pioruna.
 Bo świat, chociaż go niestać, lecz lubi odmiany
 I nosi płaszcz ustawnie nowo nicowany.

Lecz by schlebiać gustowi i nie dać dwa razy
 Powtarzać sobie przestroąg, czego świat wymaga,
 Wwiodę was w rzeczywistość — wwiodę między głązy,
 Chociaż ten gaik obok wymownie mię błaga,
 Aby i jego piękność uwielbiał wyrazi,
 I ta murowa pod nim, ciemna, prawie naga,
 Okryta li kobiercem, co bez słońca żyje,
 Uszlęmi liśćmi, które czas albo wiatr zbije.

Rzucam to wszystko, choć mi te sosny podają
 Do myśli widok kolumn, jak je kiedyś Maury
 W Kordubie wystawili, chociaż mi się zdają
 Jakby w klasycznym gruncie wybijały laury,
 Bo takim cichym szeptem w me uszy gadają,
 Tak miły powiew niemi nakarmionej aury;
 Rzucam to wszystko, niechęć darmo wierszy mnożyć,
 Bo znudzony czytelnik gotów książkę złożyć.

Stajemy więc przed grotą. Jój brama z kamieni,
 Co jak ludzie na świecie, tak one na karki
 Jeden drugiego wlaży. Dalej, niby w sieni,
 Wtłoczył się głaz ogromny znów na bramy barki
 I jak dachem tak sobą ten spoczynek cieni.
 Dach to dąść niebezpieczny — dosyć jednej szparki
 A łamiąc się i gości zgniótłby swym ciężarem;
 Więc ulżono mu grzéchowi kamiennym filarem.

W głębi — to niby sala, coś jakby altana,
 Masz cień i chłód przyjemny — masz nawet lekturę,
 Patrzaj! na prawej ręce z literami ściana —
 To wiersze! przedziernięte w niezgrabną skulpturę.
 Wymyśliła je głowa Zofjówki Pana,
 Kiedy go może myśli dręczyły ponure,
 Że okupił trybuńską dumę nazbyt drogo.
 Bo smutne myśli łatwo wieszczów stwarzać mogą.

„Rzuć tutaj pamięć nieszczęść, a szczęścia przyjm wieszczę“

(To znaczy: zbytkiem, pychą zamorduj zgryzoty.)

„A jeśliś jest szczęśliwym, bądź szczęśliwszym jeszcze“

(To znaczy: jeśliś podły, spełnij kres podłoty.)

Nie wiem, czy komentarze tu prawdziwe mieszczę,

Lecz mi się rym Szczęsnego nie zdaje zbyt złoty;

Jak niewprawny poeta może pokładł słowa

Nieodpowiednie myślom, które miała głowa.

Mym krokom dalej strumyk rwiący towarzyszy

Wijąc się wśród granitów; czasem zagniewany

Głośniejszym szumem nagle ozwie się wśród ciszy,

Czasem milcząc połyka w złości własne piany,

Znów niknie pod skałami jak w podziemnej niszy;

Po głazach suchą nogą stąpam-niezmaczany,

Co jakby most sklepiony na brzeg wiodą drugi;

Na ich mchu liczne ścieżek wydeptanych smugi.

Tak błędząc kierowany śladami strumyka,

Zachodzę w ciasny tunel kamieniami zwężony,

I im dalej się noga moja w nim pomyka,

Tym bardziej mię przygniata sobą z każdej strony;

Schyłam wreszcie i głowę i dreszcz mię przenika—

Mym dachem głaz granitu skośnie pochyłony;

Gdyby raz zechciał runąć z ponad mojej głowy,

Zgniótłby mię w jednej chwili na listek brzoźowy.

Ha, lecz tak się nie stało! — a cały i zdrowy
 Pośpieszam, gdzie mnie druga znów czeka przeprawa
 Wygodniejsza dla karku, bezpieczna dla głowy.
 Widzę z daleka: wstęga błyszczą się srebrnawa
 Czystej wody, podobna do kaskady owiej,
 Lecz mniejsza, nie tak butna i raczej zakrawa
 Na źródło, co się wylewa za brzozi cysterny.
 (Darujcie mi szczegóły, chcę opis dać wierny.)

Nie przyszło mi do myśli, by te wody zdroje
 Były dla mnie przez chwilę pokojem i ścianą,
 Nagle, nie wiedząc o tém, tuż pod niemi stoję,
 Chłodzony ich wilgocią, bryzgany ich pianą,
 Po jednej ręce skałę, po drugiej mam zwoje,
 Tę płynącą kotary, — (poetyczne miano!)
 A ze stropu mi woda kroplami przecieka.
 To nad grota, gdzie stałem, w pęd puśczone rzeka.

Po takiej niespodziance czyż wspominać warto
 O Elizejskich polach, choć z grecka stawiana
 Jaśnieje w nich świątynia — które wkoło zwarto
 Rozległym stawem, a wchód, stósownie do miana
 Wąskim a długim mostkiem śmiertelnym otwarto?
 Niechaj tam błędzi dusza ze świata wygnana!
 Ja choć nieraz spokoju chęć czuję za życia,
 Szukałbym dla swych zgryzot innego ukrycia.

Dzisiaj wolę, niżeli oddać się zgryzocie
 W dziełach sztuki poszukać z lepszych sfer natchnienia,
 Wolę spojrzeć, jak Wenus w klasycznej prostocie
 Sama kamienna pluszcze się w zdroju z kamienia,
 Lub jak Apollo w swojej wielbionej nagocie
 Czoło młodością, wieszczym ogniem rozpromienia.
 Bo i posągi również ten ogród zawiera,
 Gdyż tak ówczesna sztuki nakazała era.

Ma i biusta wśród siebie. Jeden z nich poety,
 Co przede mną uwielbiał Zofjówki czary;
 Dziś po szczęścia obiedzie otrzymał na wety
 I pomarańcz i cytryn obfite konary.
 Te mu chronią łysinę i frak, bo niestety!
 Inaczejby mu słońca dokuczyły żary.
 Fontaż gdzieś mu pod szyją zapięto jak skubel,
 A każdy guzik wielki przynajmniej jak rubel.

Drugi biust (może więcej ich się nawet mieści,
 Lecz więcej nie widziałem) jest dość zagadkowy.
 Nie słyszałem o mężu tym w żadnej powieści,
 A przecież laury wiszą mu dokoła głowy.
 Może to mąż, któremu świat odmówił cześci,
 A przyjaciel laur włożył? — dla lepszej osnowy
 Mogę tylko powiedzieć, że ów mąż wyryty
 Nosił krótko strzyżone, ruskie faworyty.

Dumając o wielkości, sławie i wawrzynie,
 Które człowiek osiąga, gdy mu szczęście sprzyja,
 Sam w górę postępuję, — (lecz uwagę czynię,
 Aby brać to dosłownie, by złośliwość czyja
 Nie rzekła, że o ducha rozprawiam wyżynie,
 Że się duma w niewinnych wyrazach przebija),
 Sam w górę postępuję, chcąc być na tarasie,
 Skąd się oko widokiem na wsze strony pasie.

Na samym wstępie widok wyniosłej kolumny
 Zatrzymuje uwagę. Kolumna z granitu,
 Carski orzeł z żelaza usiadł na niej, dumny
 Z potęgi swego władzcy i z swego zaszczytu;
 Dzioby rozwarł, jak gdyby z odemkniętej trumny
 Zabitęj Polski nazreć pragnął się do sytu.
 Mikołaj ją postawił (tak napis wyraża),
 Kiedy z jego własności okradł gospodarza.

To także jedna z nagród, a nagród tych wiele,
 Jaką zdrajców wróg płacił po spełnionym czynie,
 Kiedy mu już zbyteczni byli przyjaciele!
 Taką samą nagrodę widziałem w Tulczynie! ¹⁾
 Chwast, ruina już po nim gospodarzą śmieie,
 I wkrótce nawet pamięć tych pałaców zginie,
 Rozwiozą z nich kamienie rosyjskie żołdacy,
 Lub na gorzelnię zmieni spekulant brodaty!

O panie polski! kiedyś na ołtarzu pychy
 Dla niecnych zysków duszę w ręce dałeś czarta,
 Złodziejce Polski zdradą ukuleś wydrychy,
 I Polska na jej gwałty stanęła otwarta!
 Patrz, jak koniec zabiegów twych nędzny i lichy!
 Czyż to zapłata zbrodni straszliwych jest warta?
 Dziś w twém własném dziedzictwie szydzą ci Moskale,
 Szydzą z dumy magnata mongolscy wazale!

Trzech było przeciw wszystkim — a ich spisek spożył
 Heroizm milionów i krwi całe morza:
 Każdy z trzech wyżej siebie niż wszystkich położył,
 Każdy w złotój wolności zabawiał się stróża...
 Dziś, gdybyście ożyli, każdy by przyłożył
 Swe skronie do carskiego rydwanu podnóża;
 I was, jak resztę Polski, car nogami kopie,
 I was przemienił w plemię niewolnicze, chłopie!

Panie polski! zły duch twój, demon twojej kary,
 Sumienie, inną zbrodnią chcące cię ogłuszyć,
 W tém miejscu ci kazało tworzyć sobie czary,
 Gdzie nigdy krew wylana nieda się osuszyć.
 Jeśli kiedy cię gryzła pamięć twój ofiary,
 Tu — cóż mogło sumienia tortury pokruszyć?...
 W koło twoich ogrodów tylko pamięć zbrodni,
 Wieczna łona, raz rzezią płonącej pochodni...

Tuż za twą Zofjówką, bliżej niżli oko
 Potrzebuje, by duszy wierne podać rysy,
 Bieleje Human!... raczój czernieje posoką,
 Którą toczyły zemstą pijane tygrysy.
 Dzisiaj ni śladu tego — lecz w pamięć głęboko,
 Głębiej niż dziejopisów, pomników napisy
 Wryła się w umysł polski ta straszna mieścina,
 Wrył się Gonta — i jego zły duch, Katarzyna!

Jeżliś kiedy szukając dla skroni ochłody,
 Wypoczynku dla duszy, dla serca słodczy,
 Wszedł między swe pięknością błyszczące ogrody,
 I ujrzał na ich krańcu ten gródek zbrodniczy,
 Czy budzące się serce, sumienia zarody
 Nie rzekły ci, że zbrodnia rozbastwionój dzieczy
 Tak podobną do twojój jak bracia rodzeni,
 Że obie wzrosły w jednym gruncie, z jednéj rdzeni?...

Czy twa głowa nie spadła na pierś uciśnioną,
 Czy oko nie zemdlalo na widok straszliwy,
 Czy krwią ci nie zabiegło przerażone łono,
 A pamięć dzikiój twogi ściśnięta ogniwy
 Czy?... Lecz próżno wyliczam twoje męki pono!
 Tyś żył obcy wspomnieniom, wśród zbytku szczęśliwy,
 Nie miałeś wyobraźni szkodliwej artysty,
 Żyłeś jak kamień, skrzętnie wyglądzony — czysty!

Dość już tych wspomnień! — czyż co nowego nauczą?
 Czyż tyle harf już jęków tych dosyć nie leje?
 W tym dobranym koncercie choć z eicha zamruczą,
 Powtórzą tylko dawno oplakane dzieje.
 Stój Muzo! — poco tutaj twe kroki się włóczą?
 Czyż masz tu zerwać laury najmniejszą nadzieję?
 Oceniam dobre chęci — wołałbym uczynek;
 Wróc lepiej do swój gędźby, do swych katarynek!

Powiedz, jakem niechętny zwrócił szybko kroki
 I oczy od tych szklarni, grządek i gazonów,
 Które zajmwszy przestwór długi i szeroki,
 Pyszniły się jak cały lśniący od galonów
 Dmie się lokaj w liberij, gdy podpięra boki.
 Nie słyszałem tu więcej tych wymownych tonów,
 Któremi opuszczone drzewa, grotty, skały
 Z tajemnicy ułudą do mnie przemawiały.

Nie bawił mię ten widok w szyk sprawionych kwieci,
 Jak nie bawi rój dziewcząt, choć błyszczą pięknością,
 Gdy dusza wciąż ku jednej z utęsknieniem leci;
 Możem je witać śmiechem, zbyć nawet grzecznością,
 Lecz czemże one dla nas? — pustem gronem dzicci,
 Co bańki się puszczonej zachwyca lekkością.
 O! próżnym jest wasz urok, wy hołdów pragnące,
 Gdy serce raz przeniesie jedną nad tysiące.

Wracalem więc z ochotą, gdzie chociaż przed chwilą
 Dopiero co poznane wabiły mię strony.
 Ci, co miłości odkryć się sekreta silą,
 A nie mogą dojść, czemu przedmiot uwielbiony
 Zawsze i wszędzie więzi nas powaby tyłą,
 Dlaczegoż nie chcą wiedzieć, że dotknięcie stróny,
 Co serce z duszą łączy, w sekundzie trącone,
 W wieczną wibrację wprawia naprężoną stronę.

Dość raz widzieć, by kochać — gdy kto kochać może,
 Kogo nie stać jest na to, może lat tysiące
 Patrzeć się, a wciąż w jednym zostanie humorze,
 I zdrowia nic nie ujmie mu serce gorące.
 Ale to jest nieszczęściem, że oko w tej porze
 Zanadto rozjaśnione, serce zbyt wierzące,
 A jeszcze większa klęska, że dusza nie umie
 Wzgardę lub obojętność zatopić w rozumie!

Ale tyś jest łaskawszą kochanką, przyrodo!
 Ciebie dość kochać, aby wzajem być kochany.
 Kogo prawdziwe czucia ku tobie przywiodą,
 Powiększysz jego radość, lub zagoisz rany,
 I prędej czystym ogniem pierś rozświecisz młodą
 Niżli wzrok, co się cofa, niby sfrasowany,
 A tém samém mrugnięciem i piorun wyrzuci,
 Co nas pali, a czasem i w popiół obróci.

Tyś czystsza jest niż miłość najczystsza na świecie!
 Tę tak łatwo myśl płocha lub uczynek skala!
 Niech rączka odsłonięta męską dłoń przygniecie,
 Gors więcej niżli trzeba ujrzeć ci pozwala,
 Niech się nóżka pokaże — wnet w Amora — dziecię
 Uderzy namiętnością — piekłem wrząca fala,
 I na chwilę się zamgli przed okiem, przed duszą...
 Biedny ideał — anioł! — skrzydła mu się skruszą...

Szkoda jednak, że tak jest — bardzo wielka szkoda!
 Gdyby nie to, o ileżby szczęścia doznała
 Dusza nietknięta grzechem, a uczuciem młoda!
 Raz miłość tu poznawszy, niebo by poznała!
 Ale świat nie ma serca, lub serce Heroda!
 Zazdrości nam chwil szczęścia, duszę w więzy ciała
 Zakuje, jeśli pozna, że ta dusza sama
 Poszłaby innym torem, niż syny Adama.

Co? — znowu elegije! znowu epizody!
 I z czystego opisu niesmaczne potpourris?
 Jakby stary gawęda, lubownik wygody
 Chwytam przedmioty, jak mi tam przypadnie który.
 Tak się nie godzi! To już wyszło całkiem z mody,
 Odkąd Horac poezyj przykroił mundury.
 Zacząłem o gazonach, kończę na miłości —
 Jeżeli nie śpicie, dowód wielkiej cierpliwości.

Wprawdzie bardzo mię sobą znudziły gazony,
 Ale zamiast tak skakać, rzeknąć wystarczyło,
 Żem się powrócił w znane wam już dotąd strony,
 Dokąd przyjemność, miłe wspomnienie mię gnało;
 Żem tam znowu w piękności cały zatopiony,
 Patrzył wiele, a myślał, jak zwyczajnie, mało —
 Gdyby nie posąg, którym tam ujrzał, Torkwata,
 Który mi wspomniał wiele — wspomniał młodsze lata!

O młodociane, senne na jawie marzenia!
 Gdybym choć kilka w duszy z was dotąd zatrzymał,
 Tu, przy posągu Tassa, wśród natury pienia,
 Czy jabym także duszą nie śpiewał — tak drzemał?
 Ha, lecz próżno tęsknotą gonić te wspomnienia.
 Głupi, ktoby na losu wyroki się zżymał!
 Tak jest, jak byś musiało. Czyż wielka dziwota,
 Że się dziecku nic przerwie urojenia złota?

Dziecko pragnie za wiele, za wysoko leci,
 Ktoś rozsądniejszy schwycić je winien za rękę.
 Na świecie bierze rolę opiekuna dzieci,
 Twarda konieczność. Ona przez grzech, radość, mękę,
 Zawady i cierpienia od gwiazdy, co świeci
 W młodości, ich odwodzi, i gasi jutrzenkę.
 A cośmy przeznaczeniem zwali w dobrej wierze
 To ginie wśród pomroki na dusz naszych sferze.

Może ona ma słuszość. Gdybyśmy wzlecieli
 Tam wszyscy, gdzie się gwiazdy ponad nami ważą,
 Gdzie płyną po eterze bez ciała anieli,
 Gdzie o mało co z Boga nie spotkasz się twarzą;
 Byłaby ziemią ziemia? czyliżbyśmy śmieli
 Za trudy, klęski, bóle, co nas tutaj karzą,
 Wymagać, aby kiedyś — gdzieś — na innym świecie
 Wreszcie doszło do gwiazdy upatrzonej dziecię?

Złe i dobre być musi — taka kolej świata,
 Więc różne także ludziom dane są talenta:
 Jednego myśl nad ziemię unosi skrzydlata,
 Drugiego skuja z ziemią narzucone pęta;
 Tutaj nie równa obu spotyka zapłata,
 Lecz tam — ten, co posażył, co im dał, pamięta,
 I choć zarobek obaj przyniosą mu różny,
 Tylko procentu, zliczy, ile każdy dłużny.

I ten, co mając mało, pracował tak wiele,
 Więcój może niż inny, co mu wieńce kładą,
 I minęły go tylko przeto piedestele,
 Że go los wyposażył jedną więcój wadą,
 Że miał siły za słabe, aby wyższe cele,
 Które poznawał, wielbił, zdobyć chociaż zdradą,
 I przedwieczne oszukać prawidła natury —
 Ten pewnie tam nie będzie do nagrody wtóry.



Człowiek ma wolną wolę— prawda! lecz w zakresie
Swojego mikrokosmu. W tym to sąd zasiada,
Lecz praw się trzyma, jakie ten mikrokosm wniesie,
A które mu natura od początku nada.

Gdy sędzia się nad sferę przestępcy nie wzniesie,
Któż winien, że przestępstwo swą cechę postrada?
Jak ludzie, tak są różne wyroki sumienia,
Jak sumienie tak różne do czynów natchnienia.

Kto lepszy lub cnotliwszy, można wyrzec śmiało,
Ten jest tylko szczęśliwszym, więcej mu w podziale
Cnót albo jeniusza w życiu się dostało.

Wszak bezwzględności nawet mówią przyjaciele,
Że poeta się rodzi, równie ten co chwałą
Oręża lub wymowy drogę sobie ściele
W nieśmiertelność wiodącą; snują się ich czyny,
A oni ich nieznają źródła ni przyczyny.

Powiedz i ty, Torkwato, czy ja całkiem kłamię!
Ty wiész co życie!— do dna zajrzałeś tój czary...
I chociaż jenjusz rany goił ci w balsamie,
Umarłeś na nie!— w mózgu przegryzły ci szpary,
I wypaliły z czoła namaszczenia znamię!
Upadłeś jak bezbronne padają ofiary
Ty tak wielki, tak silny— lecz mniejszy od woli,
Co w nas pomiędzy ziarno sieje chwast kākoli.

Tasso! aleś ty przecie chwile szczęścia przeżył!
 Tyś znał, co miłość, — młodość ustrojona w kwiaty
 Natchnienia i uczucia chwilami przemierzył,
 W twój piersi nie runęły zawczasu te światy,
 Które każdy raz z ludzi burzy, choć w nie wierzył...
 Tyś nie zawodu, tyś mógł oplakiwać straty!
 Lecz ten, co chcąc tam sięgnąć, nigdy nie był w niebie,
 Tasso! po co ten sięgał tam, pytam się ciebie?

Ty mi nie powiesz! — usta umarłych zamknięte;
 Nie powie nikt z żyjących, a chceć odpowiedzi
 Tam z góry — to żądanie złudne, chociaż święte!
 Nie mamy z niem stosunków my nieba sąsiedzi.
 Czasem do nas coś mówią gwiazdy rozpierzchnięte,
 Nie każdy je zrozumie, choć pojąć się biedzi;
 Alfą nam i Omegą ziemia w każdym razie,
 A ta utyka zwykle na głównym wyrazie.

Tasso! daj mi na chwilę zapomnieć przy sobie,
 Czém jestem; w ducha swego wciągnij mię tajnice;
 Stwórz mi sekundę życia na swym dawnym grobie;
 Bym ujrzał twoje serce, otwórz mi źrenice!
 Gdy swą przeszłość i przyszłość rzucę razem obie
 W twą czystą i bogatą natchnienia krynicę,
 Będę chwilę szczęśliwy — bo zapomnę siebie,
 Nie w własném piekle, w twojém oddychając niebie.

O gdybym mógł czas jakiś być jak ty Torkwatem,
 Gdyby tu zamiast Zofii *) była Leonora,
 Ten ogród byłby wtedy dla mnie całym światem!
 Tu-bym wśród pracy dziennój, wśród rozmów wieczora
 Poił się tchem uczucia, stroił marzeń kwiatem,
 Tu dusza moja smutkom się oddać tak skora,
 Przy tych cudach przyrody, przy serca świętości
 Nie wędłaby już w wieku poczętej młodości.

Przy tych drzewach usiadłszy, nad zwierciadłem wody,
 Mając gwiazdy nad sobą, przy sobie jój lice,
 Czegóżbym nie przemarzył szczęśliwy i młody,
 Czémby mię nie natchnęły jój czyste źrenice!
 Tu-by dnie mi i nocę ustawnej pogody
 Przerzywały li słodkie jój ócz błyskawice,
 Tu-by spokój méj duszy mąciła jedynie
 Ta myśl, że i to szczęście nakoniec przeminie!...

Niech i ta pieśń się skończy! Dość zmęczyłem lutnię,
 W dłuższą biorąc ją służbę, niżeli sądziła;
 Nie chcę już więcej nad nią pastwić się okrutnie,
 By mi na przyszość swoich strón nie odmówiła.
 Bo tak mścić się nawykła, gdy zacniem z nią kłótnię.
 Bywaj mi zdrowa lutni nadobna i miła!
 (Trzeba jój schlebić — lutnia jak płocha kobieta,
 Więcej niżli o wdzięczność o pochwały pyta).

Bywaj mi zdrowa, lutni! — żegnam cię!... Na długo?..
Nie wiem doprawdy. Zresztą — od ciebie zależy,
Tyś mą panią wszechwładną, a ja tylko sługą.
Idź spocząć! — a jeżeli po zmianę odzieży,
(Jak się to w świecie zdarza) gdzieś za Muzę drugą,
Za granicę, do cudzych pośpieszysz wybrzeży,
Oczekuję cię lutni, nowo przystrojona
Czy w chlamydzie Sofokla, czy w todze Marona!

OBJASNIENIA.

¹⁾ Dotąd jeszcze, a widziałem go 1861 r. błyszczy na froncie tego pałacu złoty napis, położony kiedyś przez Trembeckiego: „By zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem R. 1782.“ Jaka parodja!!

²⁾ Jest tu mowa o Zofii Greczynce, żonie Szczęsnego. Pamięć zbytków i wolnego życia tej kobiety trwa dotąd żywo w okolicach Tulczyna i Humania.

SERAFINA.

SCENA I.

(Dolina; zdaleka widać góry; środkiem płynie strumyk otoczony drzewami).

SERAFINA — wchodzi stąpając powoli.

Wiatr cichy, świeży

Dokoła szerzy

Swe tchnienie;

Niebo pogodne

Zsyła łagodne

Promienie.

Tęj wiosny młodej

Powab urody

Zachwyca;

Wzdycha radośnie

Podobna wiośnie

Dziewica.

Po jedwabnej stąpam trawie,
 Pod mą nogą kwiat układa
 Lekką szyję;
 Barwny motyl po murawie
 Leci i na róży siada,
 Woń z niej pije:
 A ja jedna jak królowa
 Kwiatów, ptaków i przyrody
 Pędzę wiek spokojny, młody.

(Usiada nad strumykiem.)

Nimf tajemna, cicha mowa
 Z głębi fali się dobywa:
 Jak dola nasza szczęśliwa!
 Z złotego piasku łożę nas chowa,
 O darnie miękkie, darnie szmaragdowe
 Wspieramy białe ramiona,
 Pochylamy swoją głowę;
 Blask różanego promyka
 Kotary nasze odmyka,
 Całuje lica i łona;
 Muszek drobniutkich muzyka
 Niesłyszana reszcie świata
 W tysiącznych tonach nad nami lata,
 Latają rokoszne grajki;
 W którą tylko się stronę udamy,
 Wszędzie pod nogami mamy
 Lilje i niezapominajki!

Jakże piękna ta lilja, co rośnie na brzegu!
 W jój szacie ni jednego nie zobaczysz ścięgu,
 Jednej skazy plamiącej czystą białość śnięgu.

Na wiotkiej lodydze wsparta
 Usta ku ziemi pochyla
 Przed pocałunkiem motyla,
 Przed żarem w słońcu jaśniejącym oku!

(Nachyla się nad wodą.)

Na czystej szybie potoku
 Moja postać się odbija,
 Moje oko lazurowe!
 Najpiękniejszy pomiędzy pamięci kwiatkami,
 Moje usta koralowe!
 Których barwa czereśni drobne rybki mami,
 Moja łabędzia szyja!
 Gładka jak skrzydło gołębie:
 Mnie całą wierne powtarzają głębie!

O liljo! moja krasa nie mniejsza od twojej,
 Me ciało alabaster jak i ciebie stroi,
 Wysmukła kibić obu nas wspólnym ndziałem;
 Lecz na tle mego lica, na kobiercu białym
 Malują się rumieńce, usta, oczów dwoje,
 Których nie posiadają blade kwiaty twoje.

Ty piękna! ciebie oko podziwia człowieka—
 Mnie nikt nie widzi, żyję od świata zdaleka,

Ma młodość i od Boga dana mi uroda
 Przepływają bez śladu jak u stóp twych woda.
 Oby przynajmniej nurty, co tak prędko cieka,
 Zaniosły moją postać do ludzi, daleko,
 By ktoś wiedział, iż żyję, widział, jaka jestem,
 Mój głos usłyszał, fali niesiony szelestem!

(Zamyśla się.)

SPIRIDJON — wchodzi.

Boska natura! — po powietrznym oceanie
 Wzrok mój płynie, dochodzi końca widnokreęga,
 I wszystko, gdzie słuch dojdzie, gdzie oko dostanie,
 Leży jak do czytania roztworzona księga.

Tam w dali ciągną góry swe długie szeregi;
 Jak hełmy na rycerzach na ich wieżachach śniegi
 Błyszczą się stałą; dołem ściśnięte kolumny
 Zrosły się w jeden zastęp gęsty, groźny, dumny.
 Gdyby Bóg nam drabiny zesłał Jakubowej,
 Doszlibyśmy do nieba z tych olbrzymów głowy....

Obszar tak wielki! — z niego gdzież uciekło życie?
 Nie widać go na ziemi, nie ma na błękitcie,
 Wszystko martwe, milczące; jak szkielet mamuta
 Leży cała natura do trumny przykuta
 Nieświadomością siebie. O człowiecza duszo!
 Twe myśli w niej dopiero tętna życia ruszą,

Gdzie jesteś, tam dopiero widzi, myśli, czuje,
 Odbita w twym zwierciadle w siebie się wpatruje.
 Naturo! ty mnie trwożysz jak trup, jak niemowa,
 Na którego twarz patrząc, całą walkę czuję,
 Jaką toczy, by z siebie wydobyć pół słowa,
 Znak dla myśli, która duszę mu nurtuje.
 I w tobie duch gdzieś drzemie, potęgą zakłętą
 Wielkiego czarodzieja, — gdzieś w wnętrzu otchłani
 Toczą się na noc wieczną skazane odmęty
 Żywiołów myśli, czucia... Wolę twarz człowieka,
 Z której choć zbrodnia patrzy, choć łza z niej przecieka,

To widzę na niej

Rozlane światło wewnętrznego ogniska,
 Widzę myśl, czuję gorące w niej serce,
 Myśl po ziemi wzrokiem ciska,
 Do serca przemawia serce!

Myśl — uczucie! to ludzi potęga
 I najdroższe dary Stworzyciela,
 I niemi tylko człowiek dosięga
 Niebieskiego na ziemi wesela!

Odchodzę z tego miejsca, idę szukać ludzi,
 Tam serce się rozgrzeje, tam myśl się obudzi.

(Spostrzega Serafinę.)

Ha! co widzę? Tu dziewica?
 Jakże nadobne jęć lica,

Jak cudnie skłoniła głowę,
 Patrząc w nurty strumykowe!
 Skądżeś urocze zjawisko
 Tutaj obrało siedlisko?

(Zbliża się do Serafiny.)

Jakież twe imię dziewczyno?

SERAFINA.

Ludzie zwią mię Serafiną.

SPIRIDION.

Boskie miano!

Aniołom je wzięto

I tobie dano.

Bądź równie świętą

Jak oni!

Odwróć oczy z zimmnej toni,
 Spójrzyj na mnie! Jak twe oko
 W mą duszę sięga głęboko,
 Jak twa postać wypełnia kształty ideału,

W który przybrałem sobie naturę kobięcą!
 Ja znam i twoję duszę — zdradza mi ją lico:
 Na dnie czystego źródła nie ma nigdy kału.
 Lecz skądżeś tu przybyła młoda pustelnico?

SERAFINA.

Wychowanam przy matce
 W tamtej czystej, jasnej chatce,
 Której szyby aż tutaj od słońca się świecą,
 Tam żyłam dotąd szczęśliwa...

SPIRIDION.

Na czémże teraz ci zbywa?

SERAFINA.

Chcesz wkraść się w moje marzenia,

Lecz będę dla ciebie szczera.

W mój myśli świat się inny niżli ten otwiera,
W którym żyłam dotychczas nieznana i cicha;
Nieraz pierś tak mi silnie pragnieniem oddęcha
Na wir się rzucić świata; choć go nie znam wcale,
Przeczuwam, jak rokosznie unoszą te fale,
Gdzie oku ciągle nowe jawią się widoki,
Gdzie dna pod stopą nie ma topieli głębokiój,
Gdzie ucho łechce szumu bałwanów muzyka,
Gdzie drugą chwytam falę, gdy pierwsza umyka...
Chcę iść w świat!...

SPIRIDION.

Pójdź ze mną!

SERAFINA.

Z tobą? lecz ja nie znam ciebie;

Dziś raz pierwszy widzim siebie.

Któż jesteś?

SPIRIDION.

Jam człowiek

Szczęśliwszy niżli wielu. Kiedy promyk słońca

Raz pierwszy światło wniósł do moich powiek,

Wlał mi w duszę myśl — gońca,

Co szybuje bez przerwy po ducha krainie;
 Ta moc mi dała, że w martwój glinie
 Utwarzam życie, że bryła kamienia
 W mych rękach na posąg się zmienia.

(Po chwili.)

Ja wielbię piękność! — ta cudowna szata,
 Którą Bóg ukrył siebie w stworzenie i ludzi,
 Natchnienie we mnie budzi.
 Jój urok siły moje pomnaża,
 Wchodzę w jój wnętrze, cofam się ze świata,
 I zrywam szatę —
 Duch się obnaża...
 I widzę piękność jego — Boga!
 Tę piękność widzę w naturze,
 W uroczych kształtach dziewicy,
 Na nieba czystym lazurze,
 W niewinnój dziecka źrenicy;
 A wszędzie jedna prowadzi mię droga:
 Myśl z więzów ziemskich wyzwata.
 A gdy uczuciem rozgorę,
 Tkliwość w żelazo przechodzi dłuta,
 Duszą staje się dłuto,
 I myśl w marzeniach wysnutą
 Duszą odciskam w kamieniu;
 Najczystsze linje i najmiększe kształty biorę,
 Jakic na niebios sklepieniu
 Umieścił mędrzec, gdy w Stwórcy łonie

Szukał wzorów piękności stworzeniu.
 Tak stwarzam, co największe mogą ludzkie dłonie
 Stworzyć na ziemi:
 Piękność, co ducha podnosi
 I czyni szczęśliwymi!

Uwielbiam cnotę, która w równowadze
 Porządek trzyma stworzenia,
 I chciwém okiem po ziemi prowadzę,
 Gdzie ujrzę światło bez cienia.
 Jeżeli upadła walczy z przykrą dolą,
 Upadłą wznoszę z niskości,
 Dla chluby świata wieńczę aureolą
 I dla przykładu ludzkości.
 Uwielbiam mądrość! — gdzie ją zobaczę na świecie,
 Tam ją przekuję w mędrca czoło zasepione,
 Posąg pełen natchnienia wystawię pocie,
 Że świecą ludziom jakby gwiazdy zawieszone
 Na nieba firmamencie,
 I nie jeden, kierując swą łódź na odmęcie,
 Gdy okiem ujrzy ludzkim ludzkości mistrzynię,
 Nabierze sił i w porcie bezpieczny zawinie.

Wielbię cierpienie! — co ludzie cierpieli,
 Jak w lampę olej w mą duszę się wleje;
 Płomień po wierzchu błysnie téj topieli,
 A gdy przemyśle, przeczuję ich dzieje, —

Rzucam na kamień rysy oblicza,
Tchnę na nie bólem, ogniem oświecę
Wiecznego Znicza,
Że boleścią i dumą jaśniej ich lice
Jak twarz Laokona!

SERAFINA.

Zgaduję ciebie!
Ty wciągasz w siebie
Jak w piersi technienie
Ludzi, stworzenie,
Które się w tobie, jak w tym tu potoku,
Odbiją widne twemu, widne innych oku.

SPIRIDION.

Więcej daleko niżli potok zdołam!
Gdy ciało stworzę, ducha na niego wywołam,
Ze zmaz mu każę swoje oczyścić schronienie,
Któremi je ziemskość splamiła
I wraca, jakim je kiedyś zbudziła
Najpierwsza chwila w Edenie.

SERAFINA.

Czy zechcesz także przekuć moje lice
W zimne kształty marmuru,
Czy zechcesz zbadać duszy tajemnice,
I ze wszystkich tonów chóru,
Któremi się ona odzywa,
Czy najpiękniejsze uwięzisz na czole,

Na mych ustach, w mojem oku
Przez tajemnicze twój sztuki ogniwa?

SPIRIDION.

Pytasz mię? kiedy wyroku
Ja potrzebuję od ciebie,
Aby się w twoją odziać aureolę,
Ulecieć w górę,
Znaleść się w niebie!

Ty pójdziesz ze mną? — o nie cofaj słowa!
Ja duszy wszystkie oddam tobie mocy,
W mém sercu żywa, w myśli marmurowa
Będziesz mi gwiazdą polarną wśród nocy!

Pójdź ze mną, niech cię nie więzi
To samotności schronienie,
Gdzie szum wiekowych gałęzi,
Strumienia głuche mruczenie
Śpiwają tobie,
Lecz nie o tobie!
W mój duszy widzisz? już uderzona
Gotowa ciebie uwielbiać stróna,
Pieścić się twoim obrazem
I kochać razem!

Jak polna róża, co szczyty
Opina skały ponuręj,
Strojąc w kobierzec ją szyty
Ze szmaragdu i purpury:

Tak na méj piersi schylona
 Jéj smutek osłonisz sobą,
 I białe będą ramiona
 Jéj najpiękniejszą ozdobą!

Spojrzyj w pierś moję! — ona jest wszystkim otwarta,
 Chociaż nie same tylko cnoty mieści,
 Ta pierś pełna natchnienia, grzéchu i boleści
 Jest ciebie warta!
 Strudzona walki światowéj mozołem,
 Która do piekieł ją strąca,
 Ale za niebem tęskniąca,
 Godna rozkoszy zażywać z aniołem!

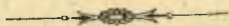
SERAFINA — rzuca mu się w ramiona.

Bóg darów tobie użyczył wiele,
 Abyś nie zwyciężał sobą;
 Już mię w rodzinném nie ujrzą siele,
 Ja pójdę z tobą!

SPIRIDION.

Pójdź ze mną! pójdź ze mną!

(Bierze ją za rękę; oboje wychodzą pośpiesznie.)



SCENA II.

*(Pracownia rzeźbiarska Spiridiona, obszerna sala
w stylu odrodzenia).*

(Spiridion siedzi zamysłony. Po chwili wchodzi Serafina.)

SPIRIDION — spostrzega ją.

Ah! jesteś tutaj!... Dzięki ci, aniele,
W twych włosach widzę kamelii kwiatek,
Który ci wczoraj w pamięci zadatek
Ofiarowałem. Przyschło zmienne ziele,
Lecz tyś się skazić niém swoich warkoczy
Nie obawiała. O dzięki ci za to!
Jak mi tę chwilę dziś stawiasz przed oczy,
Gdy cię raz piérwszy ujrzałem!
Tąż samą jesteś odziana szatą,
I w twoich oczach, na licu całém
Też same czytam wyrazy:
Łagodność, dobroć i serce bez skazy.

O powiedz! czyli to serce
 Chociaż w najmniejszej iskierce
 Uczucie dla mnie chowa.

SERAFINA.

Czyn więcej mówi niż słowa;
 Dom porzuciłam, poszłam za tobą,
 A ty się pytasz mnie jeszcze?

SPIRIDION.

Nie chciój mię smucić wyrzutu żalobą;
 O patrzaj! szczęścia przechodzą mię dreszcze,
 I dumnym z twojej miłości!

(Bierze ją za rękę.)

Pójdź, Serafino! dzisiaj ci pokażę
 Te, gdzie do Boga modłę się, ołtarze
 Uczuciem nie ziemskiej piękności.

(Prowadzi ją przed posąg.)

Przed sobą widzisz mego życia dzieje
 I moich uczuć znamiona,
 Com przeżył, jakim przeszedł koleje,
 Tu pamięć wszystkiego złożona.
 Te ziemskiej pielgrzymki symbole,
 Które zostawia po sobie,
 Jak hieroglify na egipskim grobie
 Nie kazdemu zrozumiałe,
 Kryją me szczęście, pragnienia i bole.

Widzisz ten posąg! biały, marmurowy
 Wykuty ręką pierwszego zapału,
 To jest miodzieniec! — jak od jego głowy
 Bije blask szczęścia, żądry ideału!
 Dłoń na miecz złożył, drugą wzniosł do góry,
 Piersi uczuciem podniósł jakby fale,
 Wzrokiem utonął w świat, a ducha pióro
 Dąży ku szczęściu, miłości i chwale...
 Zostawmy go w spokoju! — jeszcze los dość wczesnie
 Przerwie rokoszne mu złudzenia we śnie...

I pójdźmy dalej! — Obok niego stoi
 Już inny wcale — ten, alabastrowy.
 To jest dziewica. Korona ją stroi,
 Pod tą opaską blady liść mirtowy
 Przyłgnął na włosach, a cienka zasłona
 Okrywa szyję, spada na ramiona.
 Ona tak smutna!... Jako kwiat na łące,
 Kiedy się dotknie kosa jego głowy,
 Na dół pochyla lice bolejące.
 Już dla niej wiosny zniknęły powaby!
 Lecz widzisz, w tej istocie wątłej, słabej
 Jaka moc ducha! — na jej ustach siada
 Wyrząd tryumfu, a milczące wargi
 Ni jednej, cichiej nie wydadzą skargi;
 U stóp się wala róża szczęścia blada,

Lecz inny wieniec otacza jój głowę —
 Męczeństwa liście palmowe.

Kocham ten posąg! — tak święte cierpienie
 Uświęca całe ludzkie pokolenie.

I gdy jój serce nawskróś nie przenika,
 Jeżeli je więzi ciężka mój dłoni tunika,
 O żal mi bardzo!

Patrz dalej! — widzisz posąg narzucony w glinie?
 Ja kiedyś z niego posąg żelazny uczynię.
 Mąż ogromnej postaci, a rysów demona,
 Któryby brał ludzkości grzechy na ramiona;
 Jedno widome oko wściekłością oddęcha,
 Jaką zrodziła srogość tyranów i pycha,
 Wielka boleść nad drogięj upadkiem ojczyzny;
 Drugie pokryła skóra pomarszczona, blizny;
 Cała twarz fanatyzmu ogniem rozpalona,
 Goreje jak na niebie od pożaru łona;
 Lewą ręką do serca krwawy krzyż przyciska,
 Jakby rozgrzać je ogniem chciał z tego ogniska;
 Prawą podnosi groźnie miecz ogromny, duży,
 Jak z chmur wylatujący piorun, władzca burzy. —

Takim go widzę, gdy z gór czeskich szczytów
 Jak Mojżesz rzucał słowa w dusze Taborytów.

Ten człowiek przeszedł wieki, które go poczęły,
 Dlatego jego czyny błysły i zginęły,
 Lecz bęben, który kazał oblec w swoją skórę,
 I dziś po świecie jęki roznosi ponure,
 Ilekroć te dwie z sobą zetną się przyczyny:
 Nieszczęścia ludów i władców ich winy.

Życie ludzkości krwi się zapisuje strugą
 Na księdze dziejów. Boleść pokażę ci drugą,
 Ramiona milionów rozpięte na krzyżu.
 Ten karton będzie kiedyś posągiem ze spiżu.
 Tu już nie jeden człowiek, tu ludzi jest grupa;
 Jedni stoją, a wśrodku leży ciało trupa,
 Z którego dech uleciał, lecz krew jeszcze bije
 Z ran wielu. Ciało lekko przechyliło szyję
 I szklanne, trupie oczy podniosło do góry,
 Jakby z myślą, że przyjdzie kiedyś żywot wtóry.
 W tych zwłokach serce bije, i gdyby nie rany,
 Gdyby nie wzrok ten bez myśli i szklanny,
 Zdałoby się, iż żyje; ciało drga, muszkuły
 Chcą zerwać więzy śmierci, jakby jeszcze czuły
 Wnętrznego życia siłę. Więc cóż to jest? — mara?
 Pokutujący upiór jaki? — to ofiara!

Nad nią trojacy ludzie stanęli jak kołem.
 Jedni z dumą tryumfu, z srogiem, pysznem czołem

Na ciele wsparli nogi, jakby nóg swych wagą
 Do ziemi chcieli przygnieść tę ofiarę naga,
 Któręj puklerz na ziemi i miecz połamany
 Tarza się w prochu; — każdy czerwienią odziany;
 Wzrok ich, jakimby wzrokiem, gdyby cnotę zgładził
 Do szczętu w ludziach, szatan po ziemi prowadził,
 A liczba ich jest liczbą świata tajemniczą.

Obok nich inni ludzie stoją, leżą, klęczą.
 U jednych oko zaszło łez perłową tęczą
 I patrzą w niebo, niebu oddając cierpienia;
 Drudzy, opadłszy w letarg zimnego omdlenia
 Nie mają łez na twarzy, modlitwy, ni wzroku,
 I w pyłe się tarzają podle trupa boku;
 Ostatni znowu toczą okiem spiekłem, dzikiem,
 Jak gdy się lew zraniony spotka z przeciwnikiem,
 Na twarzy dwa wyrazy: śmierć i zemsta stoją,
 W ich ręku błyszczą miecze, pierś okuta zbroją,
 Lecz ręce skrępowane..... ich miecz nie przywoła
 W trupa martwej ofiary jój ducha-aniola....

Za tymi i pierwszymi w drugim stoją rzędzie
 Inne postacie; — oczy ich jakby w oblędzie
 Bezmyślne, straszne; usta gorzko wykrzywione;
 Dłonie ściśnięte złoto trzymają czerwone,
 Zda się, że krwią oplute, — tego złota wiele
 Padło im z rąk i w ciężkim ugrzęzło popiele;

Ich wzrok nie patrzy w trupa, nie uwiązł na niebie,
 Nie patrzy na obecnych, lecz wciągnięty w siebie
 Boi się zwyciężonych, zwycięzców i Boga,
 Od wszystkich, przed wszystkimi odsuwa ich trwoga.
 Patrzaj! jak od nas ciałem nawpół odwróceny,
 Zdają się szukać gdzieś ukrycia wiecznych cieni.

Okropna, straszna grupa! — jak grupa z Tartaru!
 A ulżyć się nie godzi ich bólów ciężaru
 Modlitwą ni litością.... skazani na wieki
 Krew rozpaloną pili u Letowej rzeki....

Ziemska Trajedja!....

Odejdźmy ztąd i nie drżj, droga Serafino!
 Życia twojego chwile zdaleka przeminą
 Od tych cierpień i zbrodni; patrz, i moje czoło,
 Chociaż świat przemierzyłem, spogląda wesoło;
 Bóg się zlituje — dolę ludzkości przemieni....

Spojrzyj tu na bok! — Życia tu widzisz słodycze:
 Tu śpiewy ptaków, cienie nocy tajemnicze,
 Czysta twarz odbitego na fali miesiąca,
 Cudotwory z obłoków i róża pachnąca,
 Tu słodki wzrok dziewicy, tu uśmiech niewinny
 Stworzyły świat dla siebie od owego inny.
 Tu cicha boleść, w której zmieszały się razem
 Pokora bez szemrania z utrapień wyrazem,

Tutaj spokojne życie wśród rodziny grona,
 Lub myśl młodzieńcza blaskiem nadziei olśniona,
 Tu uczucia przyjaźni, miłości, tęsknoty
 Zlały się w jednej tęczy siedmiobarwniej, złotej....

Znasz mię więc teraz, poznałaś mą duszę;
 Lecz w niej jednego posągu brakuje,
 O ten się dzisiaj pokuszę,
 Ciebie na posąg przekuję,
 I będziesz mojej obrazem miłości.
 Ogrzana tchem twego łona
 Już dawno w duszy myśl gości,
 Którą dziś ręka wykona.
 Tu, na mój rozkaz gotowy,
 Stoi glaz alabastrowy,
 Który ma rysów twych dostać.

SERAFINA.

I jakąż nadaż mi postać,
 Jak myśl twoja wymarzyła,
 Abym najpiękniejszą była?

SPIRIDION.

Wszystko jest pięknem w tobie,
 Pięknem to młode życie
 W niewinnej prostoty ozdobie!
 Lecz ja cię pragnę postawić na szczycie
 Uroczego ideału,
 I z twój postaci uczynię

W chwili boskiego zapalu
Natchnioną prorokinię.

Na szyję i ramiona rozpuszczę warkocze,
Skróń wieńcem róż białych otoczę,
Pod nim się cienka rozwiesi zasłona,
Która aż stóp twych dostanie,
A pod mgłą tego welona
Klasyczne zrobię ubranie.
Oczy zwrócę do nieba, i dobroć anioła
I jego czystość wleję w to spojrzenie,
Namaszczę cudne kształty twego czoła,
Usta otworzę jakby na westchnienie,
Ręce jak do modlitwy pod piersi założę.
W takim posągu duszę raz drugi ci stworzę!

SERAFINA.

Bierz za dłuto! — już widzę jaki posąg będzie.

SPIRIDION.

Poprowadzi miłość to narzędzie! —
Uklęknij teraz i modlij się szczerze,
Z sercem skruszoném jakby przy spowiedzi,
Zanim raz piérwszy w ten kamień uderzę,
Niech twa modlitwa jego stuk wyprzedzi,
Niech wprzód ją słyszą natchnienia anieli
U bramy nieba! — niech Bóg sił udzieli!

(Serafina klęka, składa ręce; Spiridion bierze młot i dłuto
i przykłada je do kamienia.)

SCENA III.

(Toż samo miejsce. Posąg Serafyny stoi na przodzie; Spiridion z dłutem i młotkiem w obu rękach patrzy na niego chwilę — potem rzuca narzędzia i odstępkuje kilka kroków.)

SPIRIDION.

Skończyłem!.... dłuta już ostatnie cięcie
Ideału dopełniło miary.
Dzięki Ci Boże! — moje przedsięwzięcie
Nie zmyliło w ciebie wiary.

Ma pierś zachwyceniem tchnąca
Dziękczynne wyléwa pienia,
Dusza jasném skrzydłem trąca
O bramę niebios sklepienia,

Jak anioł przed boskim tronem
 Upadająca pokłonem
 W upojeniu nadziemskiej radości.....

(Po chwili.)

Myśl — jak pył kwiatu umysł zapłodniła,
 A rozwijając zapach i kolory,
 Kolébkę swoją wonią napełniła
 Jak róza dumająca w miesięczne wieczory;
 I rozmarzyłem się wonią,
 Straciłem powszednie zmysły,
 A nad senną moją skronią
 Obrazy rajskie zawisły.....
 Zbudziłem się! — i chciałem uwieździć widzenie,
 Bym mógł zawsze podobnej kosztować radości,
 Wziąłem w rękę żelazo i swe senne pienie
 Wylałem w kształty ziemskości.

O Galateo! ja cię swym duchem ożywię,
 Kiedy przycisnę na gorące łono
 Ciebie, w kamień uwięzioną,
 Zakutą w śmierci ogniwie!
 Uczucie w zimne serce przeleję,
 Oczom wzroku méj duszy pożyczę —
 A gdy mi życiem błysnie twe oblicze,
 Twa istota z mą się zleje:
 Jak dwa jednego akordu tony
 Przelecim ziemią — w żywot płynąc nieskończony....

Tam wśród światła i tonów powodzi
 Z dwóch dusz jedna się urodzi,
 A całą ich życia różnicą
 Będą dwa świata żywioly,
 Co stworzenia okryte tajemnicą
 Ducha rozdzieliły na poły.....

Ha! co czynię? — marzenia czezą uganiam marę!
 Ta, co natchnęła życiem kształty marmurowe,
 Tutaj mnie nie daleko — tylko kroków parę,
 A znajdę serce, życie mój duszy połowę!

(Idzie ku drzwiom bocznym i otwiera je. Po chwili Serafina staje we drzwiach.)

O Ga..... lateo! dzieło nie moje, lecz Boga,
 Przybliź się do mnie tutaj, Serafino droga,
 Byś mojej piersi nadmiar uczuła radości,
 Którą sprawia natchnienie i czar twój miłości!

(Obejmuje ją, po chwili.)

Oto posąg ostatnią ręką wykończony,
 Którąś ty kierowała!

SERAFINA — patrząc na posąg.

Niechaj będzie twórcy chwała!
 Hołd jemu kiedyś odda zasłużony
 Nie prosta dziewczyny pochwała,
 Lecz świat, co dzieło jego widzieć będzie.

SPIRIDION.

W tobie znalazłem najmilszego sędzie!
 A jeżeli ludzkie otrzymam pochwały,

Wszystkie pod twoje porzucę je nogi,
 Bo one tobie się należały.
 Otworzę wszystkim ciekawym progi,
 Niech przyjdą, niechaj stukmistrza chwałą:
 On trzeźwy stojąc w tych pochwał dymie,
 Ciebie oklasków zaleje falą,
 Twoje przed światem rozśławi imię.
 Chcę, niechaj wszyscy cię uwielbiają,
 Ja swoje szczęście uczuję w dumie,
 Że kiedy oni hołd ci oddają,
 Ty mnie jednego kochasz w tym tłumie. —
 Lecz ty — jak tutaj jesteśmy dwoje —
 Powiedz, czém szczęścia chcesz mi użyzyć?
 Jeden twój uśmiech, spojrzenie twoje
 Za całe szczęście gotówem liczyć!

SERAFINA.

Spiridionie! jesteś jak dziecko łaknące:
 Spojrzeń miałaś już tysiące.
 Kiedyś pracował, jam naprzeciw stała,
 Jam się patrzała w ciebie, znów się śmiała,
 Boś mi powiadał, że mój uśmiech zdoła
 Przeléwać w ciebie natchnienie.
 Chcesz? — masz i nowe spojrzenie
 I nowy uśmiech.....

SPIRIDION.

Uśmiech anioła!

Czy ty wiesz, czy pojmujesz, ile mi roskoszy

Przynosi ten fałd lekki na pogodnej twarzy?

Ja nie mogę znaleźć porównania!

Chyba może, gdy słońce nocny cień rozproszy

W najpiérwszej chwili zarania,

I z kwiatów czysty zapach wydobywa:

Oddéchając tym wonnym i jasnym oddechem

Piers ma tak lekka, szczęśliwa

Jak dusza pod twoim uśmiechem!

Wierz mi! jak wielki świata okrąg cały

Nie znajdziesz duszy tak podobnej tobie,

Jak moja dusza — one się poznały

Raz piérwszy widząc się na ziemskim globie.

Me serce nie jest kipiącym wulkanem,

Ni purpurowém na zachodzie słońcem,

Ni morzem groźną burzą rozhukaném,

Ni bożej pomsty na niebiosach gońcem.

To lampa z alabastru, w której łonie

Świéci się płomień jasny, choć żałobny,

Co nigdy żarem pochodni nie płonie —

Płomień do gwiazdy na niebie podobny.

A tyś jest gwiazdą! — barwa twojej duszy

Ma podobieństwo z przejrzystym lazurem,

A gdy uczucie jej stróny poruszy,

Do gwiazd harmonij odzywa się wtórem.....

(Z zapalem.)

O pójdź do mego łona
 Przed wiekami przeznaczona
 Na mojej duszy spełnienie!
 Oko me łzami się rosi,
 Piers mą uczucie podnosi,
 A myśl zachwyca natchnienie!
 Dziś jest chwila uroczysta,
 Dziś miłość czuję tak jasno
 Jak czuć można duszę własną,
 Dziś ma źrenica tak czysta,
 Że serce przejrzę do głębi, —
 Dziś co na dnie było mój istoty,
 Kamienném słowem wyrzekłem,
 Tajemnicze rozwiązałem sploty,
 Myślą w otchłań uczucia przeciekłem,
 Dziś je czuję i widzę, dotykam się prawie, —
 Mam je tu — w rzeczywistości — na jawie!

(Po chwili, wolniej.)

Serafino! od ciebiem nie usłyszał słowa,
 Którém serca tajemna odzywa się mowa,
 Gdy uczucie jak potok poza brzegi wzbierze —
 Nie powiedziałaś: kocham. Ja w twe serce wierzę,
 Lecz powiedz to, i pozwól doznać mi radości,
 Że się nie wzdrygasz złożyć wyznania miłości.
 Ten posąg nas połączył, niech i on nas słucha,
 Będzie świadkiem spowiedzi głośnieją twego ducha.

(Uklęka przed Serafiną; ona pochyla się ku niemu i mówi cicho.)

Kocham cię.

SPIRIDION — tuląc się do jój kolan.

Łzy moje cicho po twych nogach cieką.....

(Powstaje szybko.)

A teraz niech się pierś mi rozszerzy,
Niech się wyleje potok szczęścia rwiący,
Niech ludzie widzą jakim promieniący,
Niech każdy w szczęście na ziemi uwierzy!

(Idzie do drzwi głównych i roztwiera je na roścież.)

SERAFINA (d. s.)

Usiądę tutaj — stąd ujrzę, usłyszę
Słodkie nad dziełem pochwały,
Których część mnie się należy;
Na marmur moje wdzięki się wylały,
Mój duch się nad nim w powietrzu kołysze,
Mój powab zachwyca w nim świeży.

(Spiridion staje po przeciwnój stronie. Znacwa, Książę, Dzie-
wica, Malarz, Poeta i tłum Obojętnych wchodzą.)

OBOJĘTNI — na widok posągu.

A! a!

ZNAWCA.

Słyszeliśmy już dawno, że artyści dłuto
Nowém dziełem zajęte. Było to pokutą
Prawdziwą dla nas długo tak nie widzieć tworu.
A! — to ten posąg! — cudny na słowo honoru,

Godny rzeźbiarza sławy! — jaki kamień biały!
 Lecz widzę małe wady — któż z nas doskonały?
 Mogłaby ta draperja zająć więcej na pięty,
 Ten listek róży trochę wygląda jak zmięty,
 Ten palec, zdaje mi się, ten, z szeregu czwarty
 Zanadto z drugim obok czyni kąć otwarty.

(Zbliża się do Spiridiona.)

Dzieło piękne opiszę pochlebnie w gazecie;
 Rozgłos wartość pomnaża jako dźwięk w monecie.
 Artysta po tój pracy pewnie spocznie sobie,
 Myślę, iż mu wielkiego mozołu nie zrobię,
 Gdy wpadnę czasem, a on w bronzie, na marmurze
 Lub jakkolwiek zaradzi niszczącej naturze,
 I me rysy zostawi wdzięcznej potomności.

SPIRIDION — wskazując na posąg.

Jeżeliś tym podobny z cnoty lub dzielności,
 Przyjdź do mnie — ja na klęczkach zdejmę twe oblicze.

ZNAWCA — odwracając się, do siebie.

Jaka duma! przed całym światem ją okrzyczę.

(Wychodzi.)

DZIEWICA — przypatrując się, do siebie.

Posąg tak piękny! — rysy jego jak poznaję
 Zdjęte z tój tu dziewczyny; zaprawdę, szczęśliwa!
 Nie mając zasług może, podziwem się staje,
 I każdy część pochwały na jój głowę zléwa.
 Ale cóż w niej takiego dopatrzył artysta?
 Jój kibić wzniosła, biała skroń, żrenica czysta —

Ale nic więcej! Moja twarz równie nadobna
 I więcej do tych wzorów klasycznych podobna,
 Jakie nieraz widziałam, za któremi gonią
 Rzeźbiarze. Zemszczę na nim się ostatnią bronią
 I udam obojętność.

(Wychodzi po chwili.)

KSIĄŻE — odchodząc od posągu, zbliża się do Spiridiona.

Tryumf całkowity

I mnie podbił artysta — a jestem wybredny.
 Jakto dobrze, że talent zwykł mieć tylko biedny,
 A nie ten, kogo rodu podnoszą zaszczyty;
 Bo tak, kto ma pieniądze, wszystko nabyć może,
 I zaspokoić gusta. — No, mój... Polydorze!
 (Był pono taki rzeźbiarz) dam ci sto tysięcy
 Za tę sztukę — gdy mało, dam dwa razy więcej.

SPIRIDION.

Książę się omyliłeś — ja nic nie sprzedaję.

KSIĄŻE.

Jakto? skądże pieniądze masz? kto ci jeść daje?

SPIRIDION.

I cóż księciu do tego?

KSIĄŻE.

Zbyt jesteś zuchwały!

Przymiot tych co nic więcej nie mają prócz chwały.

SPIRIDION.

Zbyt kocham swoją pracę.

KSIĄŻE—spoglądając się zpod oka od niejakiego czasu na Serafinę.

Pojmuję to łatwo;

Wy inni, wyście zwykli mienić to swą działawą.
 Lecz słuchaj, masz tak piękną i tak wierną kopję ,
 Tu widzę oryginał, co patrzy i żyje.....
 Kto to? — pewnie nie żona; wy żon nie lubicie, —
 I znać, że téż nie siostra, — ot przyjemne dziecię,
 Z którym się zwykłeś bawić. Czytałem gdzieś pono,
 Że pewien rzeźbiarz miał podobną ulubioną,
 Co mu była modelem, — przyznaj, takie związki
 Połączone są chyba węzłami podwiązki —
 Nie masz nic na sumieniu — odstęp mi jój, za to
 Odplacę ci sownie nagrodą bogatą,
 Obsypię złotem ciebie i ją.....

SPIRIDION.

Milcz na Boga,

Książę, niechaj nie słyszy! — i niechaj twa noga
 Żegna te progi; gdy mi spokoju nie stanie,
 Mogę niegościnnością splamić swe mieszkanie.

KSIĄŻE — śmiejąc się.

Ha! ha! idealista! — Ten śmiech mię zabije! —
 Pozwól, przejrzę do reszty twoje atelier.

(Idzie w głąb sali.)

MALARZ do POETY — stojąc przed posągiem.

Przyznasz, że moja sztuka doskonalsza wiele:
 Są tutaj rysy, ale gdzież barwa w tém ciełe?

Kolor w każdej postaci jest jak krew u ludzi —
Gdzie nie ma krwi, cóż trupa do życia rozbudzi?

POETA.

Obajście nieszczęśliwi! — jego zajął kamień,
Ty wołasz: biała barwo na tęczę się zamień!
Jam lepszy zrobił wybór daleko od obu:
Ja życie wielbię, gdy wy schodzicie do grobu.
Patrzaj! posąg w uczucia szaty się odzięwa!
Dziewczyna jasnooka, jasnowłosa — żywa!
Zbliży się! — jedno z ust jój otrzymane słowo
Wolę niż całą, lecz bez czucia, marmurową.

(Zbliżają się do Serafiny.)

Jesteś tak piękną bardzo!

SERAFINA.

Mówisz nie nowinę.

POETA.

Że tak jest, przypisz całą samą sobie winę.
Cóż jam winien, że w rzędzie stoję tych czcicieli,
Co widząc cię, toż samo powiedzieć musieli. —
Rzeźbiarz miał dobre oko, kiedy wybrał ciebie
Za przedmiot swego dzieła, za tryumf dla siebie;
Ten posąg jest precudny, zachwycił mię bardzo,
Ale ujrzawszy ciebie, me oczy nim gardzą,
Odwracam je i w ciebie trzymam je utkwione!...
Dawno po mieście wieści samopas chodziły
(Myślałem, jak zwyczajnie, wieści przesadzone)
O twym tutaj pobycie, i dziwy mówiły,

Skądżeś? co tu porabiasz? jak rzeźbiarz cię trzyma
 Pod kluczem niewidzianą obcemi oczyma.
 Tych ludzi tu ciekawość przywiodła połowę:
 Ciebie chcieli zobaczyć, a nie dzieło nowe;
 I patrzą się i dziwią — i zazdroszczą może
 Jak ja dzisiaj zazdroszczę, że on cię posiada!...

SERAFINA.

Pomyliłeś się bardzo.

POETA.

Jakże to być może?

SERAFINA.

Rzeźbiarz ni mą osobą, ni sercem nie włada —
 Jam wolną — on mię zabrał, a jam przyszła po to,
 Abym tém była!

(Pokazuje na posąg.)

POETA.

Wolna? Cudowna istoto!

Pójdź ze mną, ja cię kocham, pójdź ze mną, o proszę!
 Ja godniej niżli rzeźbiarz twą piękność wygłoszę,
 Postać przybiorę w słowa, uczucie w harmoniją,
 Cały świat sennych marzeń zawieszę nad skronią,
 Twe usta będą odtąd symbolem płomienia,
 Gwiazdami na niebiosach czarowne spojrzenia,
 Tysiącom twym urokiem pozawracam głowy,
 I wszyscy u nóg klękną heroiny nowój.

MALARZ.

Pójdź ze mną! — czego rzeźbiarz nie dobył z kamienia,
 Ja dokończę grą światła, perspektywy, cienia;
 Twe usta, które zbladły śniegiem na marmurze,
 Pod farbami odżyją jak rozkwitłe róże,
 Twe oko, w które życia dłuto wlać nie może,
 Uzbroję w promień, barwą lazuru wyłożę,
 Twój włos, co się pokleił tutaj w ciężkie sploty,
 Rozwieję, zwilżę rosą, zmienię w kolor złoty!

SERAFINA — do Malarza.

Twa sztuka mi się więcej malarzu podoba;
 Pójdę z tobą, sposobna gdy nadejdzie doba.

(Do Poety.)

Poeto! twojém piórem niech ta myśl kieruje,
 Że ci kiedyś w nagrodę siebie ofiaruję.

MALARZ.

O dzięki ci!

POETA.

O szczęście! żeś ty mnie wybrała!
 Bylebyś tylko długo czekać nie kazała.

(Obecni oprócz Serafiny i Spiridiona wychodzą.)

SERAFINA — d. s.

Świat cały mi otwarty! — złoto, uwielbienie
 Zdają się tylko czekać na moje skinienie,
 A mnie te zimne mury narzuciły pana.
 Za chwilę nierozsądku srodzemu ukarana!

SPIRIDION — zbliżając się do niej.

Serafino! czy dobrze widzę, czy się myślę —
Tyś smutna.

SERAFINA.

Skąd tak sądzisz?

SPIRIDION.

Patrzę już przez chwilę
Na ciebie i spostrzegam przykry fałd na czole.
Ty nie jesteś szczęśliwa — ciebie w serce kole
Jakiś cień, który kryjesz starannie przede mną.
Nie kochasz, jeżeli jesteś dla mnie tak tajemną!

SERAFINA.

Tobie się zdaje.

SPIRIDION.

Niechęć zbyt widna na tobie.

Mów, w czém zblądziłem.

SERAFINA.

Wprzódę chciej przyjrzeć się sobie,
I zobacz, czyli równie smutek cię nie tłoczy.

SPIRIDION.

To prawda! — smutnym. Smutek ten przyniosły oczy,
Kiedy padły na ciebie. Gdzież ty masz przyczynę?

SERAFINA.

Męczysz mnie!

SPIRIDION.

Serafino! wspomnij tę godzinę,
Gdyś powiedziała: Kocham.

SERAFINA.

Utraciłam wiarę

Widac u ciebie.....

SPIRIDION.

Przebacz!

SERAFINA.

Naléwasz mi czarę

Goryczą, gdys mi dac w niej przyrzekał nektaru.

SPIRIDION.

To gluche echo gniotącego mię ciężaru.

SERAFINA.

Narzucasz więzy, zamiast dac życia swobodę.

SPIRIDION.

Przestań!... zakłócisz nieba spokój i pogodę.

SERAFINA.

Uwolnij mię! — twe słowa ciężkie mnie zmęczyły.

(Odchodzi.)

SPIRIDION.

Któż mnie, abym zniósł boleść zechce dodać siły?....

(Pochyla głowę.)

SCENA IV.

(Toż samo miejsce. Spiridion stoi przy oknie.)

SPIRIDION.

Jakże brzydko na polu! — zawierucha, słota;
Wiatr jesienny opadłym liściem w koło miota, —
Konary nagie — trawa brudna, przepalona —
Powietrze ciężkie — chmur nieprzejrzana zasłona
Zakrywa słońce, życia zazdroszcząc naturze. —
Naturo! w twoim smutku ja ci sercem wtórzę:
Ktoby w jego głąb spojrział, ujrzałby w tej głębi
I zmrok, co je zaciemnia, i wicher, co ziębi.....
A więc tak jest!.... z tą myślą zgodzić się nie mogę,
Straciłem ją na zawsze!....

Tak obojętna — jakby na mnie zagniewana, —
Kiedy przemówię, milczy — gdy jej zajdę drogę,

Ucieka — i nienawiść gdzieś w sercu schowana
 W jej ruchu, w jej spojrzeniu przelotnym się zdradza.
 Ta pogarda goryczą mi serce rozsadza!.....

Lecz nie! — ja wierzyć nie chcę, ja nie zdołam wierzyć,
 Aby mogła tak zimno w me piersi uderzyć.....

Świat źle kobiety chowa: schlebia im i głaska
 Jak niedorośle dzieci — daje im łakocie
 Zamiast zdrowego chleba. Gdy je puszcza z paska,
 Zepsute dzieci czynią zadość swęj pustocie:
 Wszystko dla nich igraszka: powinność, uczucie!
 Nieraz próżności chwila, głupstwa wybryk jeden
 Burzy domowe szczęście, lub marzenia Eden,
 I w zapóźnej się nie da zagładzić pokucie.
 Nasze grzechy są cięższe — grzészym jak szatani,
 Namiętnym wichrem dumy lub żądź kołatani —
 Lecz się nie śmiejem przytém — wśród grzechów cierpimy,
 Dla kaprysu się z piekłem nigdy nie bawimy.....

Ja także świat wychował może na swe dziecię,
 Lekkość i próżność może zwichnęły jej życie —
 Ale ma serce przecie, lecz czuć pewnie zdoła,
 W kruchęj glinie chowając wzniosłą myśl anioła!

Może to błąd mój własny? — W uniesieniach szalu
 Mierzyłem twór śmiertelny miarą ideału,

A ona, jako dziecko wyszłe z rąk natury,
 Nie mogła tam się podnieść, gdzie my się wznosimy
 Pożyczonemi z marzeń i rozumu pióry,
 Kiedy skrzydła niewinnęj duszy utracimy.
 Lecz ja kocham nie tylko poety marzeniem;
 Cichym spokojem serca, uczuć głębokością
 Przywiązałem się do nięj — za lada skinieniem
 Nie pośpieszę przed inną korzyć się pięknością.

O Serafino! gdybyś choć przez krótką chwilę
 Przebyła w mojem sercu, pewniebyś poznała,
 Że jeźli oczy innych zimną twarzą myślę,
 Tobie oddane serce i dusza ma cała!

(Spostrzega Serafinę.)

To ona!... Już przywykłem czuwać nad nią skrycie,
 Bo się lękam ją stracić, — słuchać jęj tajemnie,
 Bo może mi jęj duszę odsłoni ukrycie.

(Chowa się za posąg Serafyny.)

SERAFINA — wchodzi.

Nie ma go!... Jedna choć chwila szczęśliwa,
 W której swobodnie mogę wytchnąć trocha,
 Gdzie wzrok się jego ciągle nie odzywa,
 Że mnie uwielbia, że mnie zawsze kocha.
 Jego obecność dla mnie udręczeniem;
 Ciągle mi zimne powiada oblicze:
 Okryć twe życie chcę spokoju cieniem,
 W skromnej zaciszy zgotować słodczyce.

O nierozsądny! nie znasz mojej duszy!
 Życie sielanki minęło na świecie,
 Trzeba cierpienia, miłości katuszy,
 Albo tryumfów i dumy kobiecie.
 Gdy zaślepieni poeci śpiewali,
 Że miłość dwóch jest dusz boskiem złączeniem:
 O jakże mało świat i ludzi znali,
 Jak się młodzieńczem bawili złudzeniem!
 Serce się darmo nigdy nie poświęci,
 Bo wie, że z czasem zasługi zmaleją;
 Dopóki jeszcze powab lica nęci,
 Idźmy różami wysłaną koleją!

(Wchodzi) POLYS. — Stając w głębi, odzywa się.

Cudowna Serafino!

SERAFINA — odwracając się zdziwiona.

Kto na mnie wołał?

POLYS.

Ja.

SERAFINA.

Skąd znasz me imię?

POLYS — zbliżając się.

Ja znam i więcej jeszcze — ja wiem, w twojem łonie
 Jaka myśl tajemna drzymie,
 I w jakim pragnieniu tonie
 Twa pierś bólem uciśniona.
 Ciebie los tutaj zaniósł w nierozsądku chwilę,

I trzyma mimowoli — tyś tu uwięziona,
I chcesz wolności — powiedz, czy bardzo się mylę?

SERAFINA.

Skądże mogłeś to zgadnąć cudowny człowieku!

POLYS.

Cuda nie są już więcej w duchu tego wieku!
Nie jestem Cagliostrem ni Mefistofelem —
Wyższy od obu — byłem ich nauczycielem.
Ja mistrzem wszystkich wieków; każde pokolenie
U mnie czerpie naukę — ja rozświecam cienie,
Jakie mu pokrywają trudny tór żywota.
Ledwie się w dziecku pierwsze poznanie rozmota
Biorę je na swe ręce — jego wszystkie chęci,
Marzenie, co je poi, nadzieję, co nęci
Rzeczywistością robię — i jak ludzi wiele,
Każdemu, czego pragnie, z swych skarbów udzielę.
Ja sprawiam, że kto życia zakosztuje daru,
Pragnąłby wiecznie tego używać nektaru.
Ja jestem wszędzie—w każdym sercu, w każdej głowie,—
Wiem wszystko, co kto myśli, poczuje, wypowie,
Choć za mną wszyscy gonią i szukają wszędzie.
Wciąż zmieniam swe oblicze—w niewstrzymanym pędzie
Latają myśli moje, lecz choć która minie,
Przecież żadna napróżno, bez śladu nie zginie,
Bo jest matką następnych—wszystkie jak ogniwa
W jeden łańcuch się wiążą, i ztąd wiecznie żywa

Jest moja istność.—Służyć wszystkim chcę i muszę,
 Niektórzy jednak cierpią przeze mnie katusze,
 Gdy z kolei, po której moja oś się kręci,
 Wyrzuca ich niebacznie sprzeczne ze mną chęci,
 Albo kiedy im drudzy staną się zaporą,
 I nierównym podziałem ich własność zabiorą;
 Są wreszcie, którzy chociaż swoją część dostaną,
 Dręczą się żądzą, że im wszystkiego nie dano.
 Tak dla wszystkich roskoszą jestem — nieraz katem.
 Jeżeli zechcesz, to możesz mię nazywać światem.

SERAFINA.

Wiesz wszystko — powiedz, o mnie co mówią dziś ludzie?

POLYS.

O twym pobycie tutaj mówią jak o cudzie;
 Związek, co cię z rzeźbiarzem łączy tajemniczy,
 Tyle głupich domysłów, ile mózgów liczy;
 Chwałą jego robotę, sądzą, że twórcy nowy
 Ustali sławę twórcy; słychać wśród tej mowy
 Czasem i syk zjadliwy: wielu mu zazdrości
 Świeżo zdobytych laurów i twojej miłości.
 Inni znów się spiérają, co jest więcej warte,
 Czy ty, czy posąg? — widać i serca rozdarte,
 Że się nie uwieczniły rzeźbiarza natchnieniem.
 Piękność twa otoczona wszystkich uwielbieniem;
 Ci, co do wyższych pojęć, estetycznych wrażeń
 Roszczą sobie pretensje, że rzeźbiarza marzeń

Twoję duszę sztukują i na jego słowo
Wierzą, że jesteś sztuki jakąś Muzą nową.

SERAFINA.

I dla mnie tutaj wszystkie ich pochwały giną!
Ale pocoś tu przybył?

POLYS.

Pytasz Serafino?

Słyszałem twoje wszystkie samotne westchnienia
I przyszedłem uwolnić cię z tego więzienia;
Czuję, że nie dla ciebie te milczące mury,
Ten żywot cichy, tkliwy, nudny i ponury —
Ty pójdiesz ze mną — ja ci inną dolę stworzę:
Odurzę kadzidłami, pod nogi położę
Z róż pachniący kobierzec, i na każdym kroku
Sto zwierciadeł pokażę w dziwiącém się oku;
Ty filozoficznego nie mając kamienia,
Dobędziesz złoto wolą swojego pragnienia,
Ciebie podziwiać będą język, lutnie, barwy,
I świat, codzien się w nowe przybierając larwy,
Będzie cię bawił, śmieszyl jak błazen nadworny;
Dla tych, co kazać mogą, świat bardzo pokorny. —
Wszak pójdiesz ze mną?—tutaj ciebie nic nie trzyma?
Wszak prawda?

SERAFINA.

Nic.

SPIRIDION — w ukryciu.

Ha!

SERAFINA.

Jakiś głos mi przed uszyna
Przeleciał jakby kula, albo jak syk węża....
Czy to ty?

POLYS.

Nie ja. Próżno się ucho natęża —
Nic nie słychać. To echo słów naszych.

SPIRIDION — jak wyżej
Sumienia!

POLYS.

Więc go nie kochasz wcale?

SERAFINA.

Skąd te podejrzenia!

POLYS.

I poszłaś za nim?.....

SERAFINA.

Przyrzekł tryumfy i chwałę —
Nie dotrzymał przyrzeczeń i szczęście mi całe
Kazał znajdować w swoim holdzie i miłości.

POLYS.

To co innego! — prawo po tobie słuszności.
Nierozsądny! wziąć młodą i piękną dziewczynę
I nudzić ją uczuciem.....

SPIRIDION — j. w.

.....

POLYS.

Więc pójdźmy!

SERAFINA.

Lecz ten posąg?

POLYS.

A! prawda.

SERAFINA

On zostać

Przy mnie musi. Na chwilę przemienię znów postać,
A on mi go daruje.

POLYS.

Rzecz ta warta trudu.

(Zwracając się ku posagowi.)

Aby przemówił tylko brakuje mu cudu.
Choć wyznam, że na duszę sadził się artysta,
Ciało tutaj, to ledwie jakaś szata mglista —
Tak mało krwi i życia! — a twe piękne członki
Nie takięj eterycznej godne są osłonki.
On ci ujął w tej mierze — upokorzył ciało!

SERAFINA.

Tak sądzisz?... moję piękność ocenił za mało.....

SPIRIDION — wychodzi zza posągu.

Za wiele!

Stawiłem Boga w pustym kościele,

Gdzie on nie znajdzie ołtarza!

(Chwyta za młotek i druzgocze głowę posągu Serafyny.)

Patrzaj! zniszczyłem świątynię —

Niech go więcj nie obraża!

Piękność w proch się rozpadła, w podłym prochu zginie

Jak kiedyś tve ciało w grobie.....
 Nie ma jój!... drugiej nie zrobię —
 Drugiej nie stworzę!
 Tam — w niebie może,
 Gdzie już nie będzie istot podobnych do ciebie!
 Tam z ruin serca wygrzebię
 Ziemskie wspomnienia,
 Szczęścia marzenia,
 Złudne nadzieje,
 Płomieniem je czystym ogrzeję
 I dośpiwam pieśń przerwana!
 Tam się one prawdą staną,
 Bo tam nie będzie ciebie!

I czémże teraz jesteś?... Byłaś ideałem,
 Podziwem ludzi, gwiazdą natchnienia —
 Jam cię zniszczył z duszą, z ciałem
 Za jednym ciosem młota!
 Twoje oblicze jak jutrenka złota
 Świeciłoby w pokolenia,
 I mówiliby kiedyś: ileż było cnoty
 W duszy tój młodej istoty,
 Jak ona czysta, niewinna i cicha!
 Jój pierś, co lekko wzdycha
 Słę modlitwę do nieba, do Boga;
 Jak ona temu musiała być droga,

Który tak ją ubóstwiał za życia;
 Jak kochać go musiała, jak skarby swój duszy
 Dla niego dobyła z ukrycia,
 I niemi jego piersi napełniła!.....
 Powiedzianoby także: jakże piękną była!

O, idź w świat! — ja ci nie zazdroszczę świata;
 Poznasz jaka cię spotka zapłata.
 Na chwilę, póki powab z twoich lic nie zleci,
 Jako pszczoły do kwiatu na rokosznej błoni
 Zbiegną się dokoła ciebie:
 Gdy sok zeń wyssą, kiedy kwiat obleci,
 Wiatr jesienny ich z sobą zabierze,
 W innéj pójdą szukać sferze
 Nowych kwiatów, nowéj woni.

Idź w świat! — tam spotka cię bogacz przeżyty,
 Rozpali żuźle martwego łona,
 Miłość opłaci hołdem i zaszczyty,
 Złotem odzieje szyję i ramiona,
 Blask twoich spojrzeń śmi blaskiem kamieni —
 I umierając z tobą się ożeni.
 Tam cię pojmie człowiek z tłumu,
 Bez myśli, uczucia, rozumu,
 Jakich tysiące na ziemi,
 I zakopie rękami szorstkiemi

Wszystkie skarby duszy twojej.
 On cię nakarmi, przystroi,
 Twa piękna suknia jego dumą będzie,
 Bo z niej domu zamożność poznają;
 Kiedy za stołem usiądzie
 Z podobnych przyjaciół zgrają,
 Będzie pożywał smacznie, coś im zgotowała.
 Lecz kiedy (bodajś tego nigdy nie doznała!)
 Obejmiesz szyję, złożysz mu na czole usta,
 One pobladną jak chusta,
 Bo je mróz przeszyje kamienia,
 Albo jak róża zapłoną,
 Bo spotkają glinę rozpaloną,
 Zwierzące ją zawstydzą spojrzenia.....

O są w twój duszy skarby!
 Me oko się nie uwodzi —
 Jak woń kwiatu widać z farby,
 Jak ton, co w ucho ugodzi,
 Myśl swego twórcy odkrywa —
 Tak je widać z twój postaci,
 Co cię urokiem odziewa.

Lecz nie poznałaś sama swój wartości!
 Za dar niczém niespłacony
 Wzięłaś fałszywe liczbony
 Głupiej próżności!

Lecz próżność — i tę nawet jabym ci przebaczył,
Gdybym choć trochę więcej był serca zobaczył....

Jesteś próżną — ha! i któż na świecie
Niż ja mógł więcej pochlebić kobiecie!
Byłem gotów za każdą ci chwilę miłości
Poświęcić nawet cząstkę człowieczej godności.
Myśl grzeszną była — woli Stwórcy uwłaczała,
I dla tego się sama, okropnie skarżała!

Jam cię kochał... o bardzo! — lecz nie będziesz szydzić
Nie ujrzysz ni łyzy jednej, co mnie może wstydzić.
Idź w świat! — życzenia moje spotkasz na nim wszędzie
Mścić się nie będę — za co?... że chodziłem w błędzie?
Sam jestem winien — ciebie uwalniam od grzechu.
Bądź zdrowa! bądź wesoła i nie trać uśmiechu
Nigdy z swój twarzy — on cię tak bardzo ubiera.....
Lecz pomnij, bądź dla innych trochę więcej szczerą
Niż dla mnie, bo nie wszyscy przebaczać umieją —
Bądź zdrowa!

(Polys bierze Serafinę za rękę; oboje odchodzą.)

SPIRIDION — patrzy długo za nimi, potem odwraca się.

Ni łyzy jednej!... Niech moje się leją!

(Zakrywa twarz rękami, po chwili.)

Ja płaczę?... Że mię płocha zawiodła kobieta?...
Staję, jakby się tutaj już kończyła meta
Ziemijskiej pielgrzymki?..... Jeszcze mi życie otwarte!
Przerzucę tylko jedną z jego dziejów kartę,

Od łez wilgotną rzucę w wieczne zapomnienie.....
 Los wydarł mi najdroższe na świecie marzenie,
 I zerwał kwiat uczucia — lecz świat jest bogaty,
 Ma inne, chociaż z cierniem, ale piękne kwiaty,
 Po te więc sięgnę! — choć się ręka krwią zabroczy,
 Nie cofnę się! — powinność wypełnię ochoczy.

(po chwili.)

Świat zmienił w moich oczach nagle swoje szaty,
 Jak ów kuglarz, co chwilę, przystrojone w kwiaty,
 Śpiewem ptaków dźwięczące pokazawszy błonie,
 Ten sam obraz przemienia na dzikie ustronie
 Najeżone skałami, bez drzew i strumieni.
 Mamże tam nie iść? czekać aż wstyd mię zrumieni?
 Kiedy tam równie wiją się żywota drogi,
 Gdy tam nie jednej widzę już ślad ludzkiej nogi.
 Ta zgroza mię nie straszy — pójdę dalej śmiało,
 Serce nie zdradzi trwogi, choćby pękać miało
 Tam w piersi. O, nie sztuka żyć, gdy szczęście sprzyja!
 Kto nie dojdzie do jadu, goryczy nie spija,
 Ten spełnił kielich życia tylko do połowy,
 Ten nie godzien po wieniec nachylić swęj głowy.....

Bądź zdrowa!... Co mię czeka?... nie wiem!... może czuję...
 Lecz nie rozpaczam, twojéj straty nie żałuję,
 Bom się ciężko oszukał, i pojmuję jasno,
 Że lepiej gdy nam gwiazdy w przystani zagasną,

Niżby zagasnąć miały na obszerném morzu,
Gdzie nam trudno powrotu znaleźć na bezdrożu.

Bądź zdrowa! — te łez kilka, co z oczu mi spadło,
Nie hańbą dla mnie — one mi jako zwierciadło
Pokazały, że w piersi mam serce — a przecie
Serca dopatrzeć trudno nieraz i w kobiecie.....

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ I PRACICH PAŃ

[Biblioteka.org.pl](http://pau.org.pl)

ul. Piławy Święto N. 72

00-330 Warszawa

F
130